

POLSKO AMERYKAŃSKIE DROGI **Z seminarium w Pelplinie do diecezji amerykańskiej**

"Daleko, daleko,
Za oceanem, daleko stąd
Znajduje się piękny kraj,
Ojczysty kraj mojej matki..."

Słowa te rozbrzmiewają wszędzie na świecie, tam gdzie mieszkają Polacy. Znalazłem je w niewielkiej książeczce wydanej przez Polonię amerykańską. Nosiła tytuł: "Polsko Amerykańskie Drogi".

Stany Zjednoczone przez wielu z nas nazywane są po prostu Ameryką. Dla wielu Polaków właśnie ten kraj jest gdzieś daleko, za oceanem. Może dlatego jest on mniej znany, pełen tajemnic, owiany różnymi legendami i mitami z pogranicza "raju na ziemi". Jest to kraj, do którego od dawna przybywają licznie również Polacy. Jedni w poszukiwaniu lepszych warunków życia, inni z konieczności szukali schronienia poza granicami Polski, jeszcze inni podążali za swoimi, by być razem z mężem lub żoną czy dziećmi, które wcześniej wyjechały. Jest to kraj, w którym nasi rodacy przeżywają swoje dole i niedole, radości i smutki, wzloty i upadki. Tu mieszkają, pracują, uczą się w różnych szkołach itd.

Kiedy po raz pierwszy znalazłem się w budynku seminaryjnym w Pelplinie, zapytał mnie ksiądz wicerektor,- jak wyobrażam sobie pracę kapłańską? Odpowiedziałem, że bardzo chciałbym wyjechać kiedyś na misje. Dokąd...? Kiedy...? pytał dalej zdziwiony wicerektor. Z początkiem roku akademickiego zaczęło się normalne życie seminaryjne i moje marzenia o wyjeździe na misje zeszły gdzieś na dalszy plan. Z roku na rok starsi koledzy kończyli seminarium i przystępowali do święceń kapłańskich. Powoli i ja zacząłem przymierzać się do tej roli. Kiedy byłem na czwartym roku, wpadła w moje ręce broszurka (nie sądzę, aby to był zwykły przypadek) z napisem na pierwszej stronie: **"Polonijne Seminarium Duchowne w Orchard Lake"**.

Kilka miesięcy później, dokładnie 27 sierpnia 1991 roku, po uzyskaniu zgody swego Rektora i Biskupa Ordynariusza na przeniesienie się do seminarium w Orchard Lake, siedziałem w samolocie na lotnisku w Warszawie. Kiedy samolot wystartował, uświadomiłem sobie, że Polsko-Amerykańskie drogi stały się moim udziałem. Gdy po 17-tu godzinach lotu wylądowaliśmy w Detroit, zastanawiałem się, czy moja podróż już się skończyła, czy dopiero się zaczynała.

Moja droga dopiero się zaczynała

Seminarium pod wezwaniem świętych Cyryla i Metodego powstało 108 lat temu, dokładnie w 1885 roku dzięki staraniom dwóch wybitnych kapłanów polonijnych: Ks. Leopolda Moczygemby i ks. Józefa Dąbrowskiego. Zgodę na utworzenie seminarium wydał papież Leon XIII w 1879 roku. Pierwotnie było ono w Detroit, a po 24 latach zostało przeniesione do pobliskiego Orchard Lake, gdzie istnieje do dzisiaj. Miałem okazję kilkakrotnie być w Detroit i widzieć to miejsce, w którym znajdowało się pierwotne seminarium. Dzisiaj jest to pusta,

odstraszająca dzielnica, z której dawno wyprowadzili się Polacy. Na ich miejsce przyszli murzyni, ale i oni opuszczają to miejsce. W pozostawionych domach, zrujnowanych a częściowo nawet spalonych, hula wiatr przez powybijane okna. Kiedyś tam mieszkała liczna grupa Polonii, a seminarium i okoliczne polskie parafie stanowiły jej centrum. Obecnie centrum to znajduje się w Orchard Lake i spełnia swoje zadanie o wiele lepiej, niż gdyby pozostawało ono na starym miejscu w Detroit.

Budynek seminaryjny jest jednym z wielu na terenie szkół polskich w Orchard Lake. Krajobrazowo jest to bardzo piękny teren, nad uroczym jeziorem i z dobrze utrzymaną zielenią. Na całym terenie szkolnym mieszka i uczy się kilkaset studentów. W szkole średniej i kolegium większość stanowią Amerykanie, a w seminarium - Polacy. Naczelną zasadą życia na terenie ośrodka jest wzajemne poszanowanie godności, kultury i języka ojczystego.

Kiedy ktoś zapyta, jaki jest cel istnienia seminariów duchownych, to niemal automatycznie odpowiadamy, że jest nim kształcenie i przygotowanie księży do pracy w Kościele. Seminarium w Orchard Lake ponadto szczególną troską obejmuje Polonię, nie tylko w stanie Michigan, ale w całej Ameryce. Seminarzyści mają możliwość wyboru diecezji, w której w przyszłości będą pracować.

Moja diecezja

W Stanach Zjednoczonych jest ponad 160 diecezji i wszystkie cierpią na brak księży. Liczba katolików w poszczególnych stanach jest bardzo różna, od kilku do kilkudziesięciu procent. W diecezji, którą ja wybrałem, w Raleigh w stanie North Carolina (południowo - wschodnia część Stanów Zjednoczonych), katolicy stanowią tylko 2,5%, czyli jest ich około 80 tys. na ponad 3 miliony mieszkańców. W diecezji tej pracuje 118 księży diecezjalnych i zakonnych w 73 parafiach. Obecnie dla tej diecezji studiuje 14 kleryków, w tym dwóch jest nas z Polski.

W Północnej Karolinie zamieszkuje ok. 30 tys. osób polskiego pochodzenia (dane z 1980 roku). Są to potomkowie naszych emigrantów z różnych okresów. W większości nie znają oni już języka polskiego, a o swoim pochodzeniu dowiadują się tylko od swoich rodziców lub dziadków. W diecezji tej nie ma ani jednego księdza z Polski lub innego, który by chociaż trochę znał język polski.

Podczas mojego pierwszego pobytu w diecezji spotkałem kilka rodzin, które opowiadały mi o swoich staraniach o polskiego księdza. Chcieli mieć chociaż pasterkę odprawioną w języku polskim i procesję na Wielkanoc i Boże Ciało według polskich tradycji. Przez kilka lat dojeżdżał do nich na te uroczystości ksiądz z Orchard Lake lub Bostonu. Z obu tych miejsc do Raleigh jest to ok. 1000 km. Wprawdzie na warunki amerykańskie nie jest to zbyt duża odległość, ale nie jest to też blisko, by można było sprawować systematyczną opiekę duszpasterską nad nimi nawet w minimalnym zakresie.

Był to jeden z powodów, dla którego wybrałem tę właśnie diecezję. Wprawdzie nie będę mógł pracować w typowo polskiej parafii, bo takich w tej diecezji nie ma. Ludność polskiego pochodzenia, podobnie jak wszyscy i inni, rozproszona jest na olbrzymim terytorium diecezji, które obejmuje połowę stanu Północnej Karoliny. Będę miał jednak wiele okazji, aby służyć naszym rodakom, podtrzymywać ich wiarę i przywiązanie do polskich tradycji, co w konsekwencji pomoże im także zachować swoją tożsamość narodową.

Warunki pracy w tej diecezji są podobne do pracy misyjnej. Nie można tutaj porównywać środków materialnych, które ma do dyspozycji Kościół w Stanach Zjednoczonych do tych, które

są w typowych krajach misyjnych, ale poza tym wiele spraw jest podobnych. Spełnią się więc moje marzenia, które przywiodły mnie najpierw do seminarium w Pelplinie, a później do Orchard Lake.

Podczas ostatnich wakacji letnich byłem na praktyce pastoralnej w jednej z parafii mojej diecezji. Parafia liczebnie niewielka, bo należy do niej zaledwie 300 rodzin, z których ok. 75% systematycznie uczęszcza do kościoła. W tej parafii nie spotkałem ani jednej polskiej rodziny z emigracji powojennej, ale wiele osób rozmawiając ze mną przyzna się do swego polskiego pochodzenia. Niektórych zdradzały typowo polskie nazwiska. Inni z trudem starali się powiedzieć po polsku chociaż kilka słów: "jak się masz" lub "dzień dobry".

Terytorialnie jest to parafia ogromna. Na jej terenie znajduje się ok. 50 kościołów protestanckich. Jadąc na zachód, najbliższą katolicką parafię znajdujemy w odległości 25 km, a jadąc na wschód - 50 km. Proboszcz obsługuje cztery domy starców, trzy szpitale i trzy kościoły misyjne. Zapytałem proboszcza, kto należy do jego parafii? W odpowiedzi wymienił mi przykładowo kilka narodowości: Libańczycy, Wietnamczycy, Meksykanie, Hiszpanie, Włosi, Niemcy, Holendrzy, Polacy, Boliwijczycy, z Puerto Rico itd. Oczywiście, większość z nich pochodzi już z któregoś pokolenia i nie potrafią mówić w swoim ojczystym języku. Bardzo dużo jest tam imigrantów sezonowych z Meksyku i Puerto Rico, którzy przyjeżdżają tylko na okres prac letnich, a na zimę wracają do swoich krajów.

Zadziwiający jest w tej parafii, jak i w całej diecezji, aktywny udział laikatu w życiu Kościoła. Imponujący jest tutaj także stały wzrost Kościoła katolickiego. Na ten wzrost wpływają zarówno nawrócenia z protestantyzmu, jak i napływ nowych imigrantów z krajów katolickich. Zapytałem jednego starszego pana, który przed kilku laty nawrócił się z protestantyzmu,- dlaczego to uczynił? Powiedział, bo "w protestantyzmie nie ma autorytetu" kierując jednocześnie swój wzrok na wiszący na ścianie portret Jana Pawła II. Człowiek występując przeciwko autorytetowi, często pada powalony swoją własną bronią. Ten mężczyzna, dawniej protestancki minister, przed trzema laty został wyświęcony na kapłana katolickiego.

Na pytanie, jaki jest najważniejszy problem Kościoła w diecezji Raleigh, mój proboszcz odpowiedział: "brak księży". Problem ten jest wspólny dla całego Kościoła w Ameryce. Stany Zjednoczone są potężnym krajem, w co nikt nie wątpi. Są policją świata, strażnikiem porządku, opiekunem ubogich... Są w stanie wyżywić siebie i wiele innych narodów. Są nawet dumne z tego, ale nie są w stanie być samowystarczalne co do ilości powołań kapłańskich. Tu wyciągają rękę do całego świata prosząc o pomoc. Kryzys powołań sprawia, że są one największym "importerem" powołań i księży z różnych części świata. Krajem, który tej pomocy udziela jest również Polska, za co wdzięczne jest seminarium w Orchard Lake, wdzięczna jest Polonia, wdzięczny jest cały Kościół w Ameryce.